Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Rocha i Schreibera.

Poniedziałek 9 Kwietnia Nr 20. 1838 Roku.

BAL.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(DOKOŃCZENIE.)

Gdy cały świat piękny zgromadził się w sali, oddalił się margrabia de Bouillé i kazał do gabinetu swojego przywołać marszałka dworu i kapitana okrętowego, któremu admirał Grasse, oddalając się z częścią floty, dowództwo nad resztą okrętów poruczył. «Jakże tam z wieczerzą, Frańciszku?» zapytał marszałka dworu.— «Wyborna będzie Jw. Panie.»

«Mości kapitanie,» rzecze zwracając się do tegoż, «chciałem widzieć się z waćpanem, by mu zadowolenie moje wyrazić względem dobrego porządku, panującego w zatoce. Czy *Medea* już naprawiona?» — «Zupełnie Jw. Panie.»

«Możesz waćpan okręty *Medeę* i *Amazonkę* poddać pod moje rozporządzenia?»

«I *Galateę*, gdy sobie Jw. Pan życzy.»

«Bardzo życzę, nawet i *Orla*; potrzebuję téj korwety, dobrze żegluje... Frańcisszku! uważaj tylko, ażeby mi kuchmistrz swoim sosem żołwiów niepopsuł. Ten oto pan i ja chemy dzisiaj smaczno jeść, bo zapewne téj nocy przyjdzie nam tęgo się zwijać.»

«Pan margrabia zapomniał, że nietańczę,» odrzekł kapitan.

«Tego tańca, do którego waćpana dziś wezwę, chętnie zapewne tańczyć będziesz, a król, który już o tém uwiadomiony, niezaniedba na mój wniosek okazać waćpanu swojéj wdzięczności. O północy zatém niech okręty *Medea*, *Amazonka*, *Galatea* i korweta *Orzel* będą w pogotowiu. Każ waćpan okrętowi angielskiemu w St. Pierre zarzucić kotwicę i niezapomnieć co najważniéjszego... A ty Frańciszku miéj się na baczności,

ażebyś niedawał kuchmistrzowi dużo korzeni; korzenie mogłyby cię zgubić mój kochany Frańciszku; pomniéj, że tu idzie o twoję i moję sławę; kiedy stracą wyspę, niech przynajmniéj dobrą wieczerzę zjedzą. A teraz odéjdź... Waćpan mości kapitanie, zrobisz to wszystko, co mu powiedziałem, i także cztéry wielkie łodzie miéć będziesz w pogotowiu. Rozkasz hrabiemu Dillon i majorowi Frene, ażeby osadzili okręty: piérwszy irlandzką brygadą swojego pułku; drugi strzelcami swoimi i 100 ludźmi pułku Auxerrois. Z O'Connorem już się widziałem; o godzinie 11stéj weźmiesz go waćpan na okręt z całym pułkiem Walch.»

«Ale dokąd mamy się udać, mości margrabio?»

«O tém dowiész się poźniéj; a tymczasem zatrzymaj to wszystko w głębokiéj tajemnicy. Gdyby oficerowie angielscy spostrzegli ruch jaki, trzeba im powiedziéć, że myślémy jutro wyprawić dla nich popis na morzu. Ja wsiądę na *Medeę*, a waćpan dowodzić będziesz korwetą. O północy ma być wszystko w pogotowiu! A teraz pójdźmy do stołu! Spodziéwam się, że niezechcesz opuścić balu. Niezaniedbaliśmy niczego, coby go zrobić mogło godnym wyboru dwóch największych narodów Europy.»

Wieczerza odpowiedziała oczekiwaniom margrabiego. Kuchmistrz popisał się w najwyższym stopniu, a marszałek dworu wszystko jak najlepiéj urządził. Po wieczerzy nastąpił bal i wszystkich przepychem swoim oczarował. Zdawało się, że salony w ogniu gorzały, taki blask od świata odbijały źwierciadła. Wonne powietrze morskie cisnęło się przez otwarte okna i jedném tchnieniem owiéwało tak migające się światła, jakotéż kibici zgrabnych, ulotnych tancérek. Nigdy niebo niebyło tak błękitne, nigdy księżyc nieprzyświécał tak żółto. Gdy z morza na widnokrąg się wznosił, wyglądał jak młoda Mulatka, wychodząca z łaźni wieczornéj. Gwiazdy tańcujące niejako podług ziemskich melodyj, zdawały się na przestworzu niebios formować grupy i chóry. Wiatr rozwiéwał włosy młodych Kreolek i skradał całusy z ich rozkosznych ustek. Bal był czarujący. Około dam cisnęło się mnóstwo

młodych mężczyzn w sukniach, wyszywanych złotem, i z piórami na kapeluszach. Te chwiały się w lekkim obłoku, utworzonym z pudru, który z peruk ulatywał. Grano najpiękniéjsze melodye z oper Gretrego. Śmiano się, rozmawiano, i witano z największą serdecznością. Wszyscy zachwycali się balem. Margrabina de Bouillé robiła honory balu i wyglądała przytém jak księżna. Oficérowie angielscy zaręczali ciągle, że ździwieni są tak wielkim przepychem, wytwornością i gościnnością. Niektórzy z nich przegrywali pieniądze przy zielonych stolikach, inni znowu wygrywali je w szachy. Niegrający w karty tańczyli *sarabandę* z ładnémi uczestniczkami balu. Wszyscy w równym upojeni stopniu, zapominali, że się znajdują w kraju nieprzyjacielskim, i że nazajutrz może na polu bitwy przeciw sobie wystąpią. Margrabia de Bouillé wglądając we wszystko, miał staranie o potrzebach gości. Ubior jego przechodził najświetniéjsze tak przepychem, jakotéż gracyą. Jedwabne pończochy jego były delikatniéjszego koloru, niż barwa róży; jego sprzączki u trzewików śklniły się z daleka, a żaboty, które miał na sobie, rubinami i szmaragami okryte, byłyby zawstydziły ogon najpiękniéjszego pawia. — Podczas gdy do tańca zachęcał, szepnął mu pan de Taverny: «Smutną, bardzo smutną wiadomość przynoszę mości jenerale; zaledwo śmiém ją powtórzyć.»

«Cóż takiego wicehrabio? Czy lodów, czy ananasów zabrakło?« — «Kompanija z pułku Auxerrois niechce wyruszać!»

«Wyruszać? O téj godzinie? Dokąd?» zapytali jednogłośnie oficerowie angielscy.

«Zapewne do łóżka,» odpowiedział margrabia de Bouillé swoim zwykłym wesołym tonem. »Nieuważajcie panowie na słowa Tavernego, o niczém on niemarzy, jak tylko o huntach, marszach i kontr-marszach. Wicehrabio, każ dać kompanii 100 butelek szampana i niech spać idzie. Chcieli nam popsuć radość niespodziewaną, jaką mieliśmy zamiar sprawić waćpanom, przygotowując się do pokazania wam jutro rano tego wojska w porządku bojowym i rozwiniętémi chorągwiami. A teraz niech wojsko spać idzie. Niechcemy robić mu

tego honoru, ażebyśmy bez niego obéjść się niémogli. Lecz być może, że jutro nawet przeglądu niebędzie. Przeto panowie tańczcie i pijcie i niemyślcie o dniu jutrzejszym. Ty zaś Taverny ani słowa więcéj. Wszystko u ciebie w czarnym kolorze. Niechaj ponaléwają kielichy i pijmy!» — »Oszalał!« pomyślał surowego charakteru wicehrabia.

Margrabia de Bouillé opuścił dom swój o północy tylnémi, skrytémi drzwiami. Czekała nań szalupa koło warowni St. Louis. Na okręcie *Medea* przyjęty został od części sztabu swojego. Nienależącym do wyprawy oficerom nieprzeszkadzano w zabawie. «Gdzie jest Dillon?» zapytał margrabia. — «Niechce opuścić sali, ponieważ tańczy z panną de Lasanne; zakochani mości margrabio...» — «O'Connor, powróć waćpan do sali balowéj i powiédz téj pannie, że zaklinam ją imieniem ojczyzny, ażeby dłużéj nietańczyła, i ażeby uwolniła swojego tancérza, gdyż go potrzebuję. Niech zemdleje, lub jaki inny znajdzie do tego powód.

Za przybyciem Dillona na pokład, eskadra francuzka wypłynęła z zatoki na morze, a nazajutrz o wschodzie słońca przybyła do kanału St. Łucyi. Oficerowie wszystkich okrętów i pułków otoczyli margrabiego de Bouillé. Wielu z nich było jeszcze w strojach balowych, i tylko na prędce zatknęli za swoje morowe pasy po parę pistoletów, a szpadki balowe zamiénili na dobre pałasze. Pan de Bouillé pozostał w swoim stroju balowym.

«Moi panowie,» rzekł donośnym głosem i rękę swoję od pierścieni błyszczącą oparł na rękoiści drogiémi kamiéniami wysadzonéj; «boli mię to mocno, że waćpanów tak prędko od ich tancérek oderwać musiałem, ale Francuzi wiedzą o tém dobrze, iż obowiązek ważniéjszym jest od rozrywki. Chcecie wiedzieć zapewne dokąd płyniemy? zaspokoję waszę ciekawość: chcemy panu Cokeborn oddać wizytę. Oficerowie jego tańczą u mnie, a my potańczymy u niego; jak się to waćpanom podoba?»

«Do St. Eustache! Do St. Eustache!» krzyknęli wszyscy.

Dnia 16 listopada z rana ujrzano wyspę St. Eustach. Okręty przewozowe zarzuciły kotwice, ale fregaty pozostały przy rozwi-

niętych żaglach, dla przeszkodzenia tancérzom angielskim, ażeby na wyspę niepowrócili. Morze było w wysokim stopniu wzburzone; tylko 400 ludzi mogło wylądować, co z wielkiém niebezpieczeństwem się stało. Bałwany morskie uprowadziły kilka szałup, a niektóre zgruchotały; wielu majtków utonęło. Nakoniec Dillon, na czele brygady swojéj, wdarł sią do szérokiéj Sawanny, nad którą miasto leży. Tam rekruci angielscy na murawie ćwiczyli się w broni, i dosyć było 20 wystrzałów karabinowych, by ich do ucieczki zmusić.

Cokeborn siedział spokojnie w krześle poręczowém, chwalił przed Johnem Smith swoję przebiegłość, i opowiadał mu, jakim żartem skłonił margrabiego de Bouillé do dania balu jego oficerom. John Smith na to wszystko zawsze tylko się pytał, co ma zrobić z owémi 100 gwineami gubernatora, a gubernator wciąż mówił o utonionym kocie. Margrabiemu przyszło w istocie z trudnością dostać się na skały. Po wielkich trudach i natężeniu cała mała armija Francuzów zebrała się razem, i nietracąc czasu, posuwała się ku warowni. O'Connor przybył tam właśnie, gdy straże most zwodzony do góry wyciągnąć chciały, lecz padły pod razami Francuzów. Frene wziął 600set Anglików w niewolę, których po większéj części śpiących zastał. Mając najgłówniéjsze stanowiska w swojéj mocy, uderzył Bouillé na dom gubernatora. W kasie znalazł 5 milionów gotówką, lecz piéniądze te były po większéj części własnością nieszczęśliwych miészkańców wyspy St. Eustache, ponieważ admirał Rodney przed odjazdem swoim zmusił ich do złożenia znaczéj summy, jako zakład wierności. Złożyli zatém 3 miliony 20 tysięcy frank., reszta była własnością Anglików, i tę kazał Bouillé po między wojsko swoje rozdzielić, oddawszy wyżwzmiankowaną summę jéj prawnym właścicielom.

Cokeborn dostał się w niewolę. We dwa tygodnie po tym wypadku wypuścił Bouillé jenerała angielskiego na wolność, a wyspę oddał Holendrom. I poźniéj jeszcze dawał świetne bale, lecz nieprzyjaciele jego strzegli się już bywać i tańczyć na nich.

ZEBRAK.

POWIEŚĆ.

Noc była ciemna, wieja, ślizgawica,
Szedł jakiś młodzian porządnie ubra-
(ny,
Wtém jakby na złość gdzie wązka
(ulica,
Stoi staruszek okryty łachmany,
I zebrze. »Wstyć się, czyżto żebrać
(pora,
» Któżto jałmużny prosi wśród wie-
(czora?»
— »Panie, po licu moim spójrz wy-
(bladłém,
» Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie-
(jadłem.»
— »Ej! daj mi pokój, nic niémam
(niémogę.»
Ofuknął młodzian, i szedł w dalszą
(drogę —
Idzie i myśli: Oj! znam was filuci,
Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzu-
(ci,
Wziął lichą odzież by tém litość
(wzbudzić,
I lezie gwałtem żeby co wyłudzić—
Idzie, znów myśli: można w gniéwie
(zbłądzić,
Nietrzeba nigdy źle o bliźnim są-
(dzić; —
A może biédny, może ma i dzieci;
Zajdę gdzie w bramie téj ogień się
(świéci,
Dam mu co. Zaszedł, lecz cóś szuka
(długo;
Niémam nic drobnych, dam mu razą
(drugą...
Słabość jest zbytnią uniéść się szczo-
(drotą,
Nietakto łatwo nabywa się złoto.
Idzie, znów myśli: Choćbym dał du-
(kata,
Niewielka dla mnie to byłaby strata,
Wszak mam ich kilka, a bez méj
(pomocy,
Może staruszek ten, i zamrze w nocy.
Lecz gdzie już wracać, spoźnie się
(na wiska,
Ale biédnego tego głód przyciska.
Wrócę się — wrócił. Ledwo dał trzy
(kroki,
Umilkło, księżyc błysnął przez obło-
(ki.
Biéży młodzieniéc, dziwiąc się téj
(zmianie,
Bieży gdzie stoi staruszek przy ścia-
(nie,
Dał mu dukata: »Ten co rządzi w nie-
(bie,
» Oby dla ciebie był téż litościwy;
» Oby cię wspiérał gdy będziesz w po-
(trzebie.»
Westchnął i zniknął staruszek sędzi-
(wy.
Zdziwiony młodzian patrzy do koła,
Lecz nic niewidać w pośród nocnéj
(ciszy,

» Któż jesteś starcze! » przelękły za-
(woła,
W tém jeszcze taki w powietrzu głos
(słyszy:
» Co dasz ubogim, synu mój, niezgi-
(nie,
» Oddam ci w sądu w straszliwéj go-
(dzinie;
» Uważać każdy twój krok dobro-
(czynny
» Do mnie należy; lecz jest anioł inny,
» Zbiéra co trwonisz, rozrzucasz da-
(remnię,
» Pomniéj by więcéj niezebrał ode-
(mnie.» —

ROCHWIST.

Już o półtoréj mili od Wrocławia ku górnemu Szląskowi nad rzékami Odrą i Oławą zaczynają się wsie Polskie, to jest takie, gdzie lub albo po większéj lub mniéjszéj części, albo ze wszystkiém mówi po Polsku, jako to Scinawa (*Steinau*), wielkie i małe Nadłowice (*Gross und Klein Naedlitz*) i t. d. O trzy mile od Wrocławia jest parafija Polska Laskowska, do któréj kilkanaście wsi ludnych należy, a najcélniéjsze z nich Laskowice i Jalec czyli Jelec, bo te główne wsi dwóch kluczów do familii hrabiów de Sauerma należące, Jalec niegdyś był nawet sławny zamkiem dawnym Książąt Wrocławskich, z którego rozwaliska zbudowany teraz browar wśród stawu pięknego niedaleko od wspaniale płynącéj Odry między lasami pięknémi, gdzie handel drzewem i żegluga całkiem w ręku jest Łodników Polskich, to jest Szląskich Polaków, z których najsławniéjsi są Łodnicy z Jalca i z Ratowic (*Ratwist*), wieś ta obok graniczącą).

Tak w Laskowicach, jako i w innych wsiach, gdzie wiele osady, jest w zielone świątki zwyczaj, iż parobcy, którzy konie pasą, ze świtem piérwszego święta wyjéżdżają na gonitwę, do célu już od niepamiętnych czasów ustanowionego. W Laskowskiéj gromadzie metą gonitwy jest drąg na ugorze wystawiony, do którego najczęściéj dojéżdżają goniący od jeziora Próchnik zwanego. Kto najpiérwszy u mety na wyścigi stanie, ten ogłoszony jest królem, a kto na ostatku do niéj dojedzie, ten jest *Rochwistem*. Ochocza młodzież wraca z królem na czele do domu, a Rochwist musi jéj służyć za błazna. Wiozą go na wózku o dwóch kołach umajonym, do każdego

gospodarza we wsi, i proszą o mały na ucztę wieczorną podarek, a przez ten czas, kiedy gospodarz ten dar udziela, Rochwist strojąc rozmaite figle, wyłazi z wózka, tacza się na podworzu, przewraca koziołki, a jeżeli blisko jest kałuża, to i téj odwiédzać niezaniecha, bo im więcéj twarz jego jest powalaną, tém zabawniéjszą zdaje się być królowi, jego towarzyszom i gospodarzowi. Podobne gonitwy są także i między Syrbami w Luzacyi; te istnieją od niepamiętnych czasów, a jak uczeni tameczni twiérdzą od wieków pogańskich. Czy Rochwist, Rozchwist Szląski niéma związku z Pochwistem, dawnym Słowian Polskich Bożkiem, od którego Pochwiściciela wiatr gwałtowny w Mazowszu Naruszewicz wywodzi? Czy niémasz podobnych zwyczajów i u nas w Polsce? Stan biédny, w jakim są konie naszych włościan, czyni podobno rzeczą niémożną, aby nasi włościanie takie miéwali gonitwy; wszelako bywają i u nas zamożniéjsi miejscami rolnicy, a na Rusi zwłaszcza, kto wié, czy i tam co podobnego nieznajdzie się? Obyczajów starożytnych niewypada szukać po miastach, ale po wsiach. Syrbskie obyczaje w Luzacyi podaje dziełko peryodyczne *die Provinzialblætter. Dessau* 1784. Niektóre wypisy z tego dziennika, który już dawno ustał, będą może czytelnikom Polskim przyjemnémi. Że w naszéj Polskiéj bajecznéj Historyi pamiętna jest gonitwa konna do słupa po śmierci Przemysława I. czyli Leszka IV, która o wybór następcy stanowić miała, wiadomo każdemu z dziejów narodowych, jako też i to, jak Leszek V. drugich jeźdźców zakopanémi gwoździami czyli angliczkami po zdradziecku od mety oddalił a sam ich przeto uprzedził, za którąto zdradę, gdy się wyjawiła, z tronu zrzucony, końmi był rozszarpany, a berło przeszło do rąk Leszka VI. Przypominamy to dla tego, żeby uwagę zwracać i na bajeczną historyą i na obyczaje wiejskie, które niegdyś aż do owych wieków sięgają.

Gdy ten zwyczaj gonitw znajduje się i w niektórych wsiach Niemieckich, niektórzy przeto wywodzą go z Niemiec. O czém sądzić my niechcemy. Atoli tak w Niemieckich, jak w Polskich wsiach powoli ten zwyczaj ustaje.

J. Sam. Bandtkie.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.